



# OPOWIEŚCI NIEZNANE

## Ludzie Kresów

Niniejszy numer 14 "Opowieści nieznanach" w całości poświęcony został historiom ludzi pochodzących z Kresów Wschodnich.

### Spis treści:

Str. 1 "Topole rosły przed naszymi oknami, topole piękne" - wywiad z Marią Wójciak  
 str. 4 Dzieciństwo Elżbiety Mruk  
 str. 7 Podróż z Kresów: niepewność, strach, bezsilność  
 str. 9 Anegdoty Stanisława Wrony  
 str. 10 Przepisy na kresowskie ciasta

### "TOPOLE ROSŁY PRZED NASZYMI OKNAMI, TOPOLE PIĘKNE." - WYWIAD Z MARIĄ WÓJCIAK

REDAKTORKA: Dziękuję, że zechciała poświęcić mi Pani trochę swojego wolnego czasu. Na początku chciałabym dowiedzieć się czegoś o Kresach z Pani dzieciństwa - w której części Kresów mieszkała Pani?

MARIA WÓJCIAK: To była ziemia lwowska, w okolicach Lwowa i te tereny potem, ileś tam kilometrów kwadratowych, zabrała Rosja. Ta moja wieś była zabrana przez Rosjan i dlatego nas przetrzucili na Ziemię Odzyskane, jak oni to nazywali, Ziemię Odzyskane.

R.: Mogłaby Pani opowiedzieć nam coś o swoim domu rodzinnym? Jak wyglądało gospodarstwo, w którym Pani mieszkała?

M.W.: Na Kresach to mieliśmy dziesięć hektarów, tak, dziesięć hektarów ziemi, dobrej ziemi, to jest czarnoziem. Dlatego jak przyjechaliśmy tutaj, to dostaliśmy więcej tej ziemi, tu jest kiepska ziemia, piaski. Moi rodzice mieli konie, krowy i świnię.

R.: Wyjście do szkoły, czy na zakupy z pewnością różniło się od tego, co znamy dzisiaj - jak zatem wyglądała kresowska codzienność?

M.W.: Tam na wschodzie?

R.: Tak.

M.W.: (westchnięcie) Szkoła to była taka, bo to była mała wieś i szkoła była z jednym nauczycielem. No i ten nauczyciel to uczył tak: pierwsza klasa, druga... trzecia, czwarta i koniec, wyższych nie było. Cztery klasy w takiej małej szkole. I przedszkola nie było, tylko taka Ochronka, to się tak nazywało. I tam się te dzieci, które tam chodziły, miały od dwóch lat do siedmiu, aż do szkoły poszły. Ja tak z bratem chodziłam, Franek miał pięć lat, a ja miałam dwa i chodziłam razem z nim do szkoły. Bo rodzice szli na pole, czy gdzieś to wiadomo, że chodziłam... No i tam skończyłam trzy klasy, tam na wschodzie. I uczył jeden nauczyciel, pamiętam jego nazwisko - pan Szwedo i był bardzo młody, mądry i taki światowy człowiek.

R.: Mogłaby Pani opowiedzieć nam coś o swoich kontaktach z rodziną?

M.W.: Jak się wojna niby skończyła, to wtedy mego tatę chcieli tam rozstrzelać, ale to Niemcy. I co jeszcze? Mój tato uciekł, bo za bardzo jakoś tam się z dziadkami przyjaźnił, to musiał uciec. I myśmy go w czasie wojny, tak jak ja byłam jako dziecko, to nie widziałam. Przyjeżdżał latem, czasem ni stąd, ni z owąd „o tato przyjechał!” na święta, z jakimiś cukiereczkami i uciekał, cały czas uciekał, bo on był w AK i musiał uciekać.



Maria Wójciak w dzieciństwie z matką oraz dziadkami. Zdjęcie zrobione przed gankiem domu.

Dalszą część wywiadu  
 przeczytać można na  
 stronie nr 2.





## OPOWIEŚCI NIEZNANE

# Ludzie Kresów

"TOPOLE ROSŁY PRZED NASZYMI OKNAMI, TOPOLE PIĘKNE." – WYWIAD Z MARIĄ WÓJCIĄK  
CIĄG DALSZY

R.: W czasach Pani dzieciństwa, na Ukrainie strach i niepewność szerzyły "bandy UPA", jak miała się z nimi sprawa?

M.W.: Tam? UPA... no wiesz, ja miałam wtedy dziewięć lat, ja tylko słyszałam. Oni wpadali do wsi najczęściej tak jedenasta w nocy i ludzie już wiedzieli. I wtedy wyłapywali takich Polaków, na których coś tam mieli; tak ni stąd ni z owąd przyszli, drapnęli i poszli, człowieka nie było. Koniec, i nikt nic nie wiedział. I jeszcze takie sytuacje też były, że wpadali w nocy i jak, tylko teraz nie wiem, co było przyczyną, że nieraz rano, najczęściej my, Polacy, dowiadawali się co się stało. W nocy to tak, turkot koni, taki wóz jedzie, to wiedzieli, że wjeżdżają do wsi. I albo przyjeżdżają kraść... to znaczy, to tak było, że wpadali do chlewa, a nie daj Bóg gospodarz by przyszedł, że chciał obronić tą swoją świnie, czy coś i brali. Bo oni tam po lasach się chowali, także musieli się czymś żywić. I pamiętam taki wieczór, że tato nam coś tam opowiadał i w pewnym momencie zdmuchnął świeczkę i cicho - mówi, bo jada, mówi do mamy. I kazał nam cicho siedzieć. Rano przyszedł i mówi: „Nie mamy świni i nie mamy krowy.” I wiedział, po co przyjechali, ale nie mógł wyjść, bo jakby wyszedł, to by nie wrócił. Bo by go ukatrupili zaraz... i tak to wyglądało. A jeśli mieli jakieś na oku rodziny, czy ludzi, którzy swoją polskość za bardzo pokazywali, to wpadali i mordowali. Także, to znam z opowieści, jak wpadli do domu, do kogoś, sąsiadki, i ta sąsiadka później wisiała na drzwiach... w kawałki pokrojona... Myśmy mieszkali we wsi na samej granicy prawie, pas taki graniczny był i zaraz tam była od razu Ukraina, to na tych pasach, jak znaleźli ślady, takie, że ktoś przychodził, to tak długo chodzili, aż go znaleźli. A to ludzie się bali chować, to tak jak z Żydami było - bali się Niemców, żeby przechowywać Żydów i tak samo u nas - bali się ludzie przechowywać tych, którzy uciekali tam z tej Ukrainy do nas, do Polski, a jak złapali, to, jak słyszałam, to wrzucili do piwnicy i podobno myszy i szczury go zjadły. Wrzucili i koniec, nie martwili się. A to sama nazwa UPA, to słyszałam, jak rodzice rozmawiali albo sąsiedzi, ale ja tam nie wnikałam w to.

R.: Przechodząc do czasów wysiedlenia Polaków z Kresów, jak wyglądała przeprowadzka na Ziemię Odzyskane? Mogłaby nam Pani opisać?

M.W.: Jak to oni robili: więc najpierw na spotkaniu lokalnym wsi powiedzieli, że będą nas przesiedlać i mój tato przyszedł z tego spotkania i mówi. Mama popłakała się; podzielili nas na takie grupy: te rodziny, które nie miały dzieci, to jechały w pierwszej turze, po piętnaście rodzin. I to dlatego my mamy tą rodzinę nad morzem - bo oni pojechali właśnie wcześniej i nas tak porozsypywali. Oni nie chcieli, żebyśmy jako wieś, razem, tą wieś posadzić, tylko podzielić. Oni tam, a my tu, druga część. I mieliśmy krowę, konie, stamtąd ze wschodu, to jest jeszcze takie fajne, że w tym pociągu to my przywieźliśmy cały dorobek, cały życiowy - moich rodziców, nie mój - moich rodziców dorobek. Jechały z nami te krowy, świnie, konie, to wszystko było w wagonach i jechaliśmy dwa miesiące i z takimi przystankami - tam wtedy te krowy wychodziły na trawę, się pasły, mama tam prała, no i potem się wsiadało do tego pociągu i jechało się dalej. I tak przez dwa miesiące, cały czas. I jeszcze niedomyte to wszystko było, jak przyjechalibyśmy tutaj, to wszystko było zawszawione, jakieś takie świerzby, wszystko, bo jak to w pociągu, jada, no i tak tu przyjechalibyśmy.

R.: Ile miała Pani wtedy lat?

M.W.: Dziewięć, miałam wtedy dziewięć lat. To było lato, to niby było takie dobro wielkie, żebyśmy zdążyli przed wrześniem, żeby dzieci poszły do szkoły spokojnie. I przyjechałam tu, do tej szkoły przyszedłam, to było dla mnie zupełnie obce, bo tu taka większa cywilizacja była, bo tu więcej takich rodzin było - bliżej Niemców z zaboru tego tu, z poznańskiego, zaboru pruskiego, jak to się nazywało, a my z tego wschodu to taka ciemnota, zakompleksione, jakieś takie, wiesz... (śmiej).

Dalszą część wywiadu  
przeczytać można na  
stronie nr 3.





## OPOWIEŚCI NIEZNANE

# Ludzie Kresów

"TOPOLE ROSŁY PRZED NASZYMI OKNAMI, TOPOLE PIĘKNE." – WYWIAD Z MARIĄ WÓJCIĄK  
 CIĄG DALSZY

R.: Zmierzając ku końcowi, jakie, po tylu latach, pozostało Pani najlepsze wspomnienie związane z Kresami Wschodnimi?

M.W.: To znaczy no, co mi pozostało, to przyjaźnie takie dziecięce, to kontakty trzymaliśmy jeszcze bardzo długo potem, pisaliśmy listy do siebie. No i widoki – te widoki z dzieciństwa ja mam w oczach do dzisiaj. Ja bym mogła wyrysować to, jak wyglądała ta moja wieś i opowiedzieć gdzie nawet niektóre drzewa rosły – topole rosły przed naszymi oknami, topole piękne. I pamiętam jeszcze taką scenerię, że naszą wieś ktoś przyszedł podpalić i podobno wiedzieli nawet kto, i kościół się wtedy spalił i to pamiętam, że w nocy wyrzucaliśmy wszystkie poduszki i no... Bo nasz dom też się całkiem spalił, później mieliśmy zupełnie nowy, tato wybudował z drzewa.

I jak zawsze się coś działo takiego złego, to pamiętam żeśmy zawsze uciekali do mojej babci... a radośniejsze... jakie to radosne wspomnienia? A, jedno z tych moich pamiątek jako dziecko, o tym nauczycielu mówiłam, to to, że on nas zawiózł, to do dzisiaj pamiętam, on nas zawiózł na przedstawienie do Zamościa i pamiętam, że był „Szewczyk Dratewka”. I wtedy mając sześć, siedem lat pierwszy raz byłam w teatrze, w Zamościu. I mało tego, uruchomiona została w tym czasie ta kolej, bo to też są te czasy, jechaliśmy pociągiem na to przedstawienie. To było przeżycie! Jako dziecko, dla mnie... Jak weszliśmy do tego miasta, ten Zamość, to było takie... no powiedz, babcia osiemdziesiąt lat, a ten obraz widzę, mogłabym wyrysować, wszystko zrobić. I tego „Szewczyka Dratewkę” to widzę na tej scenie... to było to, że mimo że wschód, zacofanie takie, to patrz, nauczyciel nas zawiózł na przedstawienie do Zamościa na „Szewczyka Dratewkę” (śmiech).

R.: Musiało być to naprawdę poruszające przeżycie, skoro mimo tylu lat, wciąż pamięta je Pani tak, jakby zdarzyło się wczoraj. Nie mam już więcej pytań, bardzo dziękuję Pani za tę rozmowę.



Maria Wójciak w dzieciństwie z klasą szkolną oraz nauczycielem – panem Szewcem.

Wywiad z Marią Wójciak przeprowadziła: Helena Rymwid-Mickiewicz